



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebena i Spół., kwartal. 5 marek

POGA WĘDKA.

Zdawało się, że babiego lata ten rok nam poskąpi, że jesień odrazu wejdzie w swoje prawa, pośpieszy się z uprzątnięciem ziemi, pozdżiera resztki zielonego liścia, zwarzy niedowiedle kwiaty i dmuchać będzie chłodem coraz większym, aż nawieje nam pierwszy śnieg jeszcze przed św. Marcinem.

Zanosilo się na to, ale ten rok jakoś w kalendarzowym państwie chce widocznie zejść ze swiata z przydomkiem: „pogodny“, bo i jesień dopisała, temperatura po chwilowym spadku znowu się podniosła, i mamy dnie tak piękne, że człowiekowi pod dachem i w zamkniętych murach usiedzieć trudno.

Przerwana willegiatura odzyskała znowu, nie na długo wprawdzie, swój urok, a amatorzy myśliwskiego sportu używają z fuzijką na ramieniu i z wiernym pieskiem u nogi rozkoszy polowania, oile mają za czem chodzić po czarnych polach i skopanych kartofliskach.

Wspomniałem już niegdyś o tem, że zamiłowanie do rozmaitych rodzajów sportu wzrosło u nas w ostatnich latach znacznie. Od czasu założenia Towarzystwa Wioślarskiego powstał klub cyklistów, a obecnie towarzystwo łowieckie. Doczekamy się może powoli zapowiadanych oddawna klubów gymnastyków, turystów, szybko-biegów i „szczudlistów“, którzy już w letnim sezonie odbywali podobno pierwsze próby chodzenia „krokiem bocianim“.

Byle tylko nie przyszło komu na myśl założenia towarzystwa „balonistów“, do czego niewiele chyba brakowało przed kilkoma tygodniami, gdy

nieszczęsny Leroux ze swoim spadochronem zbudził w niektórych szczególniejsze zamiłowanie do aeronautyki.

Śmiały Amerykanin przypłacił życiem swą karłowatą odwagę; utonął biedak w Bałtyku wobec tysięcznych tłumów, które się z brzegu jego śmiertelnemu upadkowi przypatrywały.

Było to w Rewlu. Leroux podczas najpiękniejszej pogody wznosił się na kilka tysięcy stóp wysoko, potem, jak zwykle, odczepił się od balonu i zaczął pod swym jedwabnym kloszem spadać ku ziemi, gdy nagle od ładu wiatr się zerwał i uniósł aeronautę razem ze spadochronem na morze; biedaczysko, oddany na pastwę dwóm żywiołom, targany przez prąd wiatru i pędzony ku głębinom, — zginął na nurtach morza, zanim przygotowane statki i łodzie z przystani zdołały dotrzeć do miejsca wypadku.

Dopiero drugiego dnia trupa jego wydobyto z toni, a nieopodal znaleziono fatalny spadochron, w którym śmiały żeglarz napowietrzny tyle ufności pokładał.

Ta wycieczka pod obłoki, miała być ostatnią jego produkcją publiczną; zamierzał z zebranymi pieniędzmi wrócić do rodziny i pożegnać na dłuższy czas Europę.

I losy chciały, aby ostatni raz w istocie wznosił się nad ziemią, bez powrotu.

Na wybrzeżu w Rewlu mają mu postawić pomnik w miejscu, z którego puścił się balonem.

Podczas pobytu aeronauty w Warszawie poznałem go osobiście. Był to człowiek w sile wieku, przystojny, milej powierzchowności, mało mówny i poważny, jakgdyby to ciągle narażanie się na śmierć od trzech lat spędzonych na objazdach całego świata, od czasu wynalezienia spadochronu powlekło jego duszę jakimś mrokiem i nastroiło ją złemi przeczuciami.

Wiedział dobrze, na co się naraża; nie chciał też za długo szczęścia swojego wyzyskiwać.

— Zbiorę jeszcze trochę pieniędzy—mówił— a potem osiadę w Ameryce i dam pokój tym skokom.

Po każdym szczęśliwym wylądowaniu twarz jego wypogadzała się jedynym uśmiechem i ożywała bardziej, gdy tłumy publiczności witały go grzmiącymi oklaskami i okrzykami.

Miał minę człowieka, który umknął przed śmiercią i uniknął szczęśliwie katastrofy; pomimo całej odwagi, bardzo niepospolitej, znać po nim było, że jest zadowolony, iż „tym razem jeszcze się udało“.

Kusił jednak tę śmierć tak długo i igrał z nią póty nieopatrznie, aż się zniercierpliwiła i dopadła go w chwili, gdy miał ostatni raz zajrzeć jej w oczy.

Tak się najczęściej kończą Ikarowe wloty śmiałków, którym ziemia zanizka i zamała jest widownią, a jednak w drogę do słońca niejeden jeszcze Leroux poleciał mimo wszystko... dziwić mu się nie można.

Na gruncie warszawskim nowin ważniejszych i wrażeń głębszych niewiele przyniosły ostatnie dwa tygodnie. Sezon jesienny istnieje tylko *de nomine* w kalendarzu towarzyskiego i artystycznego życia Warszawy; dopiero przygotowujemy się do zimowej kampanii.

W Muzeum śpieszą z urządzeniem wystawy, która ma być otwarta w końcu bieżącego miesiąca; zapowiadają nam wiele bardzo ciekawych okazów z dziedziny sztuki stosowanej, wieleabytków, wielkiej archeologicznej wartości, które z prywatnych zbiorów wyjdą poraz pierwszy na widok publiczny. Pomiedzy nimi znajdować się mają istne „białe kruki“.

Reporterya zwykle w ten sposób uprzedza każdą wystawę, zachęca rozciekawia, zapowiada więcej, niż potem rzeczywistość dotrzymuje.

Było już tak nieraz, oby nie było i tym razem! — i być może, że nie będzie, bo, jak słyszę, komitet

energicznie zabrał się do rzeczy i pracuje gorliwie nad spełnieniem swego zadania.

Energicznie wprawdzie pracował także komitet urządzający pierwszy jarmark chmielarski, który trwał u nas dni dziewięć, ale, niestety, spodziewanych rezultatów nie przyniósł. Produktu piwodajnego zwieziono na targ niewiele; urodzaj w tym roku nie był świetny, a gatunek niebardzo wyborowy. Ruch spodziewany włókl się bardzo słabo, tranzakcyi dokonano mało, bo kupcy prawie o trzecią część żądanej summy zniżyli swą cenę i—dawali znacznie mniej, niż płacą za chmiel zagraniczny, motywując to takimi argumentami:

— Panowie plantatorzy powinni taniej nam odstępować, bo transport kosztuje ich mniej, niż zagranicznych dostawców, nie opłacają cła i gatunki gorsze przywożą na jarmark.

Plantatorzy zaś nie chcieli się zgodzić na takie rozumowanie i odpowiadali:

— Skoro potrzebujecie naszego chmielu, to płacicie tyle, ile płacicie w normalnych warunkach. Co was to obchodzi, z kąd wam go dostarczamy? Nie kupicie od nas; będziecie musieli zapłacić i tak wyższe ceny dostawcom zagranicznym. Możemy wam coś opuścić, ale nietyle, abyśmy sami żadnych zysków nie mieli.

Obie strony obstawały przy swoim i targów nie przybijano.

Na przyszłość jarmark trwać będzie tylko dni pięć, za to dowóz o tydzień przeszło dłużej zostanie dozwolony.

Z małych rezultatów tegorocznego jarmarku chmielarskiego nie należy przesądzać o przyszłych targach. Trzeba mieć nadzieję, że stosunki się uregulują,—„podaż i popyt“ się zrównoważą, a obie strony osiągną zyski.

Faktem jest, iż konsumpcya piwa w ostatnich latach u nas się zwiększyła, że znacznej części gambrynusowego nektaru dostarczają nam czeskie i bawarskie browary, że polykamy całe kuty Pilsnera, Loewenbräu i Spatena: powinni się zatem nasi piwowarzy starać o to, aby ulepszoną produkcją wyrugować i tę nadwyżkę obcego wytworu, która im robi dotychczas konkurencją.

W jednym z większych browarów warszawskich zastosowano właśnie nowy wynalazek sztucznego ochładzania waru bez używania lodu, co pozwoli prowadzić fabrykację piwa w ciągu całego roku. Zwiększona produkcya wymagać będzie większej ilości chmielu, ergo dla plantatorów przyszłość się uśmiecha i nadzieja łatwiejszego zbytu w korzystnych warunkach wzrasta.

Dużo jeszcze wody upłynie, zanim warszawskie piwo będzie mogło zastąpić smakoszom monachijckim lub pilzeńskie specyały, ale i tego spodziewać się należy.

Niewątpliwie jednym z czynników wpływających na zwiększoną konsumpcją tego trunku były w Warszawie... teatryki ogródkowe.

Melpomena pomagała Gambrynusowi do zyskania większej popularności i zapewniała mu niekiedy więcej tryumfów, aniżeli ich sama dla siebie zdobywała.

Panowie restauratorzy stanowczo robili lepsze interesa od panów dyrektorów, którzy chyba tym razem doszli wreszcie do przekonania, iż zbyt duża konkurencya prowadzi do ruiny, i że ich za dużo szuka chleba w Warszawie.

Jedno z towarzystw rozbiło się też zupełnie; artyści w ostatniej nędzy, bez środków do życia, pozostali na bruku; niektórzy musieli pracować, jak prości wyrobnicy przy kanalizacyi, aby z głodu nie zginąć.

Smutne to bardzo, ale chyba godniejsze oklasków, aniżeli role, jakie grywali na ogródkowej scenie.

Stosunkowo najlepiej powiodło się towarzystwu łódzkiemu pod dyrekcją p. Kościeleckiego, który wrócił na zimowe leże do polskiego Manchesteru i zwyciężył konkurencją, jaką mu chciał tam robić p. Puchniewski, zakładając drugi teatr miejscowy.

Pan Kościelecki wynajął salę, niezajętą przez współzawodnika, i ma zamiar dawać w niej operetki, komedya i dramat, pozostawiając na da-

wném miejscu. Łódź zatem będzie miała pod jedną dyrekcją dwa teatry na zimę.

Czy nie za dużo dwóch grzybów w barszczu?.. Nasze stałe sceny sezon jesienny rozpoczęły nowościami; przygotowują je w dalszym ciągu; jedna tylko opera przypomina starą pozytywkę, wygrywającą jedne i te same kawałki.

O odnowienie repertoaru operowego równie trudno, jak o nową primadonnę, albo nowego tenora. *Sempre lo stesso*, powiada sobie reżyserya i z uśmiechem zadowolenia oraz ufności w poblżliwość słuchaczy dodaje: *e sempre bene*.

Zawsze tosamo i zawsze dobrze.

Mamy teraz jednego tenora lirycznego, który dźwigać musi cały repertuar, jedną primadonnę jubilatkę, która najzasłużeniej nosi przydomek „nieznużonej“ i najczęściej ratuje sytuacyę: jednego barytona, którego warto słuchać, i żadnego barytonisty, któryby pod względem artystycznym dostrajał się do kwartetu solistów. Był dotąd p. Seideman, śpiewak dobry, choć nieco szwankujący pod względem głosu w chwilach niedyspozycyi, ale w każdym razie artysta w lepszym stylu, szanujący sztukę i umiejący śpiewać; obecnie zabrakło i jego, bo przyjął podobno ofiarowane sobie miejsce profesora konserwatorium w Nowym-Yorku i wyjeżdża za Ocean.

Panna Hermanówna zeszła również ze sceny, a chociaż w ostatnich czasach więcej chorowała, niż śpiewała, jednak ubytek jej nie został zapelniony przez inną siłę równej wartości.

Ostatnie z młodszych śpiewaczek panny Pinkertówna i Rejewska odchodzą, a podobno zanosi się jeszcze na inne dymisy, o nowych nabytkach zaś nie słyhać, i gdyby p. Dowiakowska dostała kiedy chrypki—broń Boże!—a pan Myszuga zachorował na gardło, opera nasza byłaby sparaliżowaną odrazu.

W tych warunkach i repertuar i wykonanie muszą być zależne od warunków, nad których poprawą byłby najwyższy czas pomyśleć; jedno bowiem zahacza się o drugie i tamuje wzajemnie.

W dziedzinie sztuki nie mamy na razie nic ważniejszego do zanotowania; wystawy nasze nie wystąpiły dotąd z jakimiś szczególniejszymi wabikami; w salonie p. Krywulki jedynie zwraca uwagę młody, świeży, niewątpliwy talent, który się zdobył na dzieło bardzo wiele obiecujące. Jest nim obraz dużych rozmiarów laureata Szkoły Sztuk Pięknych w Krakowie p. Wodzinowskiego, noszący tytuł: „Na swojską nutę“.

Przed starą austeryą w małym miasteczku stanęło dwóch grajków i rznie od ucha jakiegoś oberka, czy krakowiaka; wędrownym skrzypkom przysłuchuje się gromadka przechodniów, dziarski parobczak, wiejska dziewczucha, kilku mieszczan, jakiś podróżny jegomość z obywatelską miną, karczmarz, przekupka i t. d.

Niewyszukany to temat, ale co za wyborna charakterystyka, co za typowe figury, jakie ożywienie, jaka prawda!..

Wszystko to najwidoczniej studyowane z natury, podpatrzone na gorącym uczynku, uchwycone żywcem. Znać w tem talent młody, siłny, zdrowy, bez maniery, a samodzielny, nieulegający obcym wpływom.

P. Wodzinowski zapowiada się, jako malarz niepospolity, chociaż dopiero co z ławy szkolnej powstał i zpod kierunku Matejki wyszedł; dano mu złoty medal w nagrodę i dla zachęty. Teraz trzeba jeszcze pracować, jeszcze się kształcić, zobaczyć coś, pojechać za granicę, zaprawiać sobie smak na arcydziełach sztuki malarskiej i tworzyć pod nowymi wrażeniami.

Niestety, o to tak trudno naszym początkującym artystom; tak mało mają środków po temu, tak mało pomocy od mecenasów! W tym wypadku dałoby się łatwiej zaradzić: wystarczyłoby kupić obraz, a twórca jego zyskałby fundusz na dalsze kształcenie się i w ciągu roku zapracowałby sobie sam niewątpliwie na utrzymanie w następnym.

Niedawno temu, zaledwie rok, widziałem p. Wodzinowskiego pierwszą pracę p. t. „Odczynianie uroków“. Jakież znaczny, zadziwiający postęp w tem drugim dziele, która jest nieomal dojrziałym owocem młodego i bujnego talentu!

W sferach dziennikarskich i wydawniczych zaczyna się ożywiać; przede wszystkim przybył nam nowy organ w odrodzonym *Tygodniku Powszechnym*.

Znany poeta i literat, Wiktor Gomulicki, nabył to pismo, które, rzuciwszy się przed kilku laty w objęcia *Tygodnika Ilustrowanego*, nie rozwiąło się w mgłę, nie zbutwiało bez śladu. Próbowało wychodzić bez ilustracyi, służyło za experymenta wydawnicze rozmaitym przedsiębiorcom, ale długo utrzymać się nie zdołało.

Dopiero teraz w rękach doświadczonego a eleganckiego, w rękach poety i artysty, który zawsze odznaczał się wytwornym smakiem, *Tygodnik Powszechny* odzyskał fizioznomią właściwą, przerodził się, oporządził, zamienił w organ literacki, zdobiony rysunkami i dbający o piękną formę zarówno jak o treść piękną.

Numer okazowy przedstawił się zajmująco, w rozmiarach mniejszych od *Tygodnika Ilustrowanego* i *Kłosów*, i prawie takich, jak *Biesiada Literacka*.

Oryginalnością jego wyglądu jest druk rycin kolorowy, który wszelako nie stanowi koniecznego warunku do podniesienia ilustracyi.

Znać w układzie tygodnika dodatni wpływ krakowskiego *Świata*, który pod względem wytworności, dokazał sztuki nielada, stanawszy na równi z najbardziej zbytkownymi wydawnictwami bogatej zagranicy.

Kto się u nas nie dotykał redagowania pism ilustrowanych, ten nie może mieć pojęcia, ile-to trudności zwalczać trzeba pod każdym względem, chcąc pismo postawić na odpowiednim poziomie artystycznym, zastosować się do wymagań publiczności i nie bardzo przekroczyć budżet.

U nas, pomimo całego postępu w tym kierunku, niema jeszcze tak wyrobionych sił technicznych na zawołanie; dobrych, a zwłaszcza obdarzonych ilustratorskim talentem rysowników tak jest niewiele,—drzeworytników znakomitszych zaledwie kilku, którymby można było powierzyć delikatniejsze roboty i którzyby na wszystkie potrzeby starczyli; presserów wykwalifikowanych, podkładających ryciny na prassie drukarskiej, brak również.

A cóż dopiero mówić o kosztach, jakich wydawnictwa ilustrowane wymagają! Przy wielkiej ilości prenumeratorów możnaby wyrządzać znacznie szerszymi funduszami i zdobyć odpowiednie środki, ale w danych warunkach trzeba się liczyć ze wszystkim i bardzo często, naprawdę, bicze z piasku kręcić.

Publiczność nasza nie dość to rozumie, stawia za wysokie żądania, chce mieć za tanie pieniądze pismo piękne, bogato ilustrowane, z wyborowymi artykułami literackimi i porównywa je przy każdej sposobności z wydawnictwami zagranicznymi, nie wchodząc w to, że takie francuzkie lub niemieckie ilustracye mają dziesiątki tysięcy prenumeratorów, rozporządzają krociami, znajdują wielką pomoc pod każdym względem w całym legionie artystów, drzeworytników, wytrawiaczy, drukarzy i t. p.

A nikt nie uwzględnia, że polskie ilustracye są o tyle tańsze, o tyle uboższe,—tak skrupowane wydawniczymi warunkami: a jednak bardzo często stają na równi z najlepszymi tego rodzaju publikacyami zagranicą.

Zresztą od kogoż to zależy, jeśli nie od publiczności, aby prassa ilustrowana jeszcze bardziej się u nas podniosła i rozwinęła?.. Trzeba więcej czytać, więcej prenumerować, a temsamem umożliwiać wydawcom i redakcyom ich piękne zadanie.

Z zaproszenia do współpracownictwa, jakie w tych dniach otrzymałem, dowiaduję się, że już w tym miesiącu ma zacząć wychodzić „Wielka Encyklopedia powszechna“ zamierzona na bardzo rozległą skalę z ilustracyami, kolorowanymi tablicami, na wzór tego rodzaju wydawnictw Meyera, Brockhausa i t. p.

Ma ona być większa od wyczerpanej Encyklopedyi powszechniej Orgelbranda. Wydaje ją p. Saturnin Sikorski pod kierunkiem redakcyi *Wędrowca*.

Być może, iż wydawnictwo się uda, ale zastanawia mnie pośpiech, z jakim się zabrano do rzeczy. W tym miesiącu jeszcze ma się ukazać pierwszy zeszyt.

Czy to nie za rychło, jak na dzieło pomnikowe?...

Quis.

SZCZĄTEK.

Jest pod tym tytułem: *L'épave*, wiersz francuzkiego poety, Franciszka Coppée dziwnie tkliwej treści, a z taką rozumną myślą w głębi, że kobiety francuzkie — bo dotyka on głównie stosunków życia kobiecego — kobiety matki, powinny-by uczyć się go na pamięć, a nam dobrze jest przynajmniej zapoznać się z tem, co zawiera. Jest to obrazek ludowy, obrazek z życia wieśniaków nadbrzeży bretońskich, z kąd Coppée jest rodem. Wdowa i sierota po rybaku — to główne osoby dramatu, wzruszającego niewymownie, choć poeta trzymał go w tonie najprostszym i tylko że gwarę prowincjonalną usunął. Ojciec utonął; pochłonął go Ocean, gdy walczył z nim, ratując ginących rozbitków, i matka lęka się dla dziecka swego, które jest jedynem, zetknięcia się z tym żywiołem okrutnym: nie chce dla niego rzemiosła ojcowskiego i przeznaczają go na księdza. Pleban miejscowy uczy go, — uczy go czytać, pisać i po łacinie, ale gdy godziny lekcji się skończą, gdy gramatyka zostanie zamkniętą w szufladzie proboszcza i chłopiec jest wolnym, biegnie on na wybrzeże, bo jest w nim skryte pragnienie, aby bosemi stopami biegać po piaskach wilgotnych, aby zamoczyć te stopy w falach przybierających bałwanów i czuć między włosami wiatr, wiejący od głębi.

Matkę to przestrasza. Chłopiec jest już silnym wyrostkiem i, chcąc go uchować przed losem, którego się dlań objawia, opowiada mu raz biedaczka, jaką była śmierć jego ojca. Jest to właśnie czas burz, panujących przy jesieniem przesileniu się dnia z nocą. Matka nieboga siada z synem przed chatą, z której widok jest właśnie na pełne morze i przy podnoszącym się groźnie łonie Oceanu, przy zrywającym się wicherze, który bałwany jego zaczyna dziko sieć i pędzić spiętrzone — wobec obrazu pełnego grozy i zapowiedzi licznych nieszczęść opowiada mu dzieje śmierci ojcowskiej.

Mateusz mu było na imię; był dzielny i śmiały, posiadał też łódź ze szlachetnym godłem: *En avant* i zawsze pierwszy spuszczał ją na fale, zawsze umiał sprowadzić pod dach najbliższej swej chaty dobrobyt i szczęście. Czuł, że mu jest dobrze na świecie, jak też było rzeczywiście, gdy raz, właśnie o tej smutnej porze jesiennej, po skończonej pracy dnia i spożytej wiecezry, siedząc przed chatą z fajką w ustach, patrzył przed siebie: na Ocean zaczynający się burzyć i niebo, zaczynające zaciągać się chmurami.

— Musiałby być przeklętym przez Boga ten, komu by wypadło tłuć się teraz po morzu — rzekł do żony; przecież w chwilę potem uczynił to własnowolnie.

Trzymasztowa łódź ukazała się w stronie morza najniebezpieczniejszej: w stronie skał nadbrzeżnych, zwanych skałami Ś-go Piotra, bo trzeba tam było chyba unosić się po wierzech wody na cudowny sposób Świętego, aby fale nie rzuciły zuchwałego żeglarsza na te skały — nie rozbiły o nie jego statku i nie pochłonięły go w wirach swoich. Dlatego-to rybak powiedział żonie, że trzeba chyba dźwigać na sobie ciężar klątwy bożej: być człowiekiem zropaczonym i nie dbającym już o nic na świecie, aby się tam zapuszczać. Ale są w duszy ludzkiej głosy, które każą naraz milknąć względem osobistego jedynie interessu — głosy wzywające do ofiary, do poświęcenia się za innych, i rybak usły-

szął je nagle w głębi swojej. Skoczył do łodzi, mającej u dziobu swego hasło: *En avant!*...

Skoczył pierwiej, nim żona powstrzymała go zdolała, i wdowa biedna opowiada to teraz sierocie: opowiada, zalana łzami, aby uchronić syna przed losem podobnym: obwarować go przed porywami gorącego uczucia, przed nierozsądną niepamięcią o bezpieczeństwie własnem; lecz któż zgadnie, jakie obrazy malują się przed duchem człowieka, słyszającego o wielkich aktach miłości bliźniego — o wielkich czynach, których motorem jest coś innego, niż instynkt nasz zachowawczy? Nie odgadła też tego wdowa ta żałosna. Postawiła przed oczy dziecka swego wzniosły obraz cnoty ojcowskiej i nie pomyślała, że syn jej może wyciągnąć sobie z tego niespodziewane dla niej rezultaty: że może podnieść sobie serce młode wysoko, może je napoić pragnieniem życia wyższego, niż zabiegi o całość własną. I gdy też przyszedł pozew losu, a raczej pozew boży, próbujący hartu młodego ducha: biorący miarę jego chrześcijańskiej zdolności kochania ludzi „tak jak siebie samego“, pękły klamry ochronne, któremi ręka matczyzna opinała serce synowskie. W rok potem, gdy znowu nadeszła pora burz i wicherów jesiennych, gdy morze toczyło z rykiem głuchym spiętrzone bałwany swoje, a straż portowa dała naraz sygnał straszny, że statek jakiś walczy o śmierć i życie swej załogi w pobliżu skał Ś-go Piotra, syn wdowy stał się bladym jak cień, lecz nie zemdlął jak dziewczyna. Nie... poskoczył on za tymi, którzy rzucili się co prędzej szykować łódź ratunkową, choć matka była tuż przy nim, łamiąca ręce, wołająca głosem rozpacz, aby wraz z życiem swoim nie zabijał jej życia.

I uchwyciła się go, przypominała obietnice dawane jej jeszcze w roku zeszłym, i on biędny stał walcząc ze sobą: źrenice szeroko otwarte patrzyły na przygotowania czynione przez innych, ale gdy naraz bałwan ogromny zwałił się z rykiem głuchym na wybrzeże i chłopak ujrzał, lub może sądził, że widzi starą deskę przegniłą — szczątek wydarty głębiom oceanu i wyrzucony teraz na brzeg — szczątek łodzi ojcowskiej, bo na przegniłym drewnie widniały jeszcze ryte rozpalonem żelazem litery godła *En avant* — już nic go wstrzymać nie mogło. Skacze w łódź, która odbija właśnie od lądu, skacze w nią tak, jak ten, po którym był sierotą, a głos jego silny i śmiały woła wobec ziemi i morza: *En avant!*

Matka jękała na brzegu, przecież koniec powieści jest wesoly. Syn wdowy wraca do niej zdrow i cały, a francuzki poeta zakończył ją słicznie. — „Le père est si content“... mówi chwytającej go matce bohaterski chłopak, i żaden z moralnych traktatów o wychowaniu, żadna książka na użytek matek pisana nie daje tym matkom lepszych, dokładniejszych wskazówek pedagogicznych nad ten wiersz poety. Co znaczą w wychowaniu wpływy szlachetnych tradycji wtedy nawet, gdy im przeszkoda się stawia, gdy im coś przeczy? oto filozoficzna treść jego. Młodość, która się z tradycjami takimi spotyka w jakikolwiek sposób, ma już ukazane sobie obrazy wyższych, dostojniejszych stron życia: ma jakgdyby oczy otwarte na życia takiego widoki, i jeżeli jest tylko w tej naturze młodej coś skłonności podnioslejszych, coś poezji: jakieś uskrzydlenie myśli, jakieś gorętsze pulsowanie uczucia, wzrusza się niemi i obraz przedstawionych tu czynów, w zwierciadle wyobraźni odbity, unosi ze sobą w życie a jest to dobra dla życia tego zapomoga — zasób szacowniejszy, niż się to zdaje wielu ludziom, którzy nie wiedzą, że w duszy ludzkiej, jak w świecie materji, nic nie ginie. Wrażenia pierwsze, dlatego właśnie, że są pierwszemi, nie zacierają się nigdy zupełnie, nie przez to już, że w nas tak silnie trwać miały, ale przez to, czego dokonały w pierwszym działaniu swego okresie: przez to, w jakim kierunku kazały się zwracać myślom młodym, wzruszać się młodemu sercu, uskrzydlać się polotom młodej wyobraźni.

Życie bezustannie przyznaje słusność słowom: „Młodość to rzeźbiarka, co wykuwa posąg cały“... ale nietylko przez to, co kształtuje tu człowieka jako działanie w kierunku tym specjalnie zwrócone: wychowawcze, pedagogiczne. Wpływy poza pracą edukacyjną, wpływy z żywego życia, z życia

tego wrażeń wynikające, są najważniejsze i przenikają też najgłębiej: urabiają młodą, miękką jeszcze istotę najsilniej. Pierwsze wzruszenia serca, pierwsze zrywanie się wyobraźni: wewnętrzny ruch ducha w tej epoce formowania się pierwszego, zostawia w nas ślady niestarte, o których człowiek nie wie nawet, których w sobie nie podejrzewa, i nieraz też nie rozumie tego, co w danej chwili odnajdzie mu się naraz w sercu, w wyobraźni, — co jako poryw niepokonany, rzuci się w nim nagle, aby wspomódz go w jakiejś walce, lub popełnić wyroczenie w stronę życia, którą inaczej nie poszedłby może.

Wiele rzeczy, które kładziemy na karb namiętności, siły trudnej do okiełznania, są skrytymi w nas skutkami wrażeń młodych: szczątkami tego, co w całości swej rozbiło się przed laty: *l'épave* francuzkiego poety. Jest to w nas schowane, zapadłe gdzieś na dno, przysypane naleciałościami późniejszego życia i jak iskra w żelazie, nie zdradzające się niczem. Niech przecież coś silniej w nas uderzy — niech wstrząśnie umysł lub serce a nagle, niespodziewanie, jak wspomnienie ojcowskiego czynu w synu rybaka, odezwie się w nas i wstrząśnie nami w sposób, który zadziwiać potem będzie nas samych.

Jest to wielka siła — dobroczynna lub szkodliwa — i niech matki pamiętają o tem, niech wyposażają młodość dzieci swoich we wrażenia piękne i szlachetne, niech to będą przedewszystkiem przykłady życia czysto i uczciwie, z godnością pędzonego, w którym zła namiętność nie targa węzłów obowiązku, lecz szlachetny poryw zapala każe się nieraz zrywać do poświęcenia i ofiary na korzyść innych: a dość tego będzie, aby te dzieci wyszły na ludzi, którym towarzysze drogi ich życia podają rękę z uszanowaniem. Może, jak ów syn wdowy bretońskiej, pójdą górną drogą życia i zdobędą się na wysoką, bohaterską cnotę poświęcenia się za innych; może pozostaną prostymi, pokornymi pracownikami na chleb powszedni, ale niemniej będą to zawsze, na każdym posterunku życia, ludzie uczciwi; a gdy dopełnią jakiego aktu cnoty wzniosłej, której ziarno dostało im się w serce przez święty spadek przykładu rodzicielskiego, powiedzą wzruszeni, jak rybak bretoński, że duch ojcowski, który im legował tę zdolność szlachetnych uniesień serca, jest w tej chwili szczęśliwym.

M. Ilnicka.

ADJUTANT KRÓLA JEGOMOŚCI.

OPOWIADANIE Z DRUGIEJ POŁOWY ZESZŁEGO STULECIA

napisał

Mieczysław Krzywosąd-Kępieński.

(Dalszy ciąg).

— A ot — rzekł zadyszany od biegu, podając lunetę — niech pułkownik patrzy: kogo nam Bóg niesie.

Wielowiejski, wzięwszy do ręki instrument, miarkował go do oka, a nastroiwszy jak należy, zwrócił błyszczącą rurę na gościniec i patrzył przez chwilę.

— Ano, zgadłem: Jędrus — przemówił nareszcie — ni mniej, ni więcej, ale pięćset dragonów i z dwustu Mierowskich gwardyaków sunie prosto na Krakuszwicę, a więc ani chybi, że o nas zawadzą. Awantgardę prowadzi, zda mi się, pan Frydrych a dalej... co to ja widzę? poszóstna kolasa, służba w barwie... Ki-to dyabeł być może, co go z taką paradą gwardyaki prowadzą? chyba że to sam Lottow. Ale po cóż ta karetka? — mówił pułkownik, odejmując lunetę od oka i podając ją Drużbicowi.

— Ależ JW-y pułkownik — przerwał Druźbic wpatrując się gorączkowo w wylaniające się z zieleni wojska — wždy generał Lettow, idąc ku Proszowicom od Sierosławic nie szedłby przecie tym traktem: toż mu bliżej na Targowiska i na Bolechówkę.

— Dobrze Wasze mówisz. Jest w tem racya wielka, choć i pagórków tam niema i bliższa mu droga, ale może chciał wstąpić do swego Pierzchowca, a może bał się trafić na jaką partyą konfederacką po drodze.

— Tfu — splunął oburzony Druźbic — bać się tam kogo, gdy się ma pod ręką takich zuchów tyła.

— Ha może i nie ta przyczyna, bo Lettow człek tegi: nie zleknie się pewnie lada adwersarza, ale *miles peritus*: nie chce nadarmo krwi swoich przelęwać. Daj-no Waś instrument: niech jeszcze popatrzę.

Tymczasem, kiedy tak rozmawiali nasi towarzysze a pułkownik nanowo stosował do oka lunetę, zpoza drzewin otaczających cmentarz niegowicki, wychylało się coraz więcej czerwonych mundurów dragonii, ludzi dobranych wzrostem i na roslých koniach. Długa, wyciągnięta, w pewnych odstępach przerywaną linią snuła się ta kawalkada w bojowym ordynku, z zachowaniem wszelkich ostrożności: więc przodem pod wodzą officera szła „szpica“, złożona z ośmiu jeźdźców w rakowych mundurach, w palonych butach wysokich do kolan i w błyszczących hełmach, od których dziwnie pięknie odbijały złote smugi słońca. Za szpicą w pewnej odległości szedł stępa szwadron gwardyi konnej koronnej w granatowych z czarnemi „aufszlagami“ koletach i złoci stych hełmach. Prowadził go officer ogromnego wzrostu, który, jakby zrosnięty z ciskającym się pod nim niecierpliwie koniem, wydawał się prędzej ożywionym posagiem, aniżeli człowiekiem z ciała, krwi i z kości. Olbrzym ten w błyszczącym od złota na piersiach pancerzu, w stosowanym kapełuszu z piórami miał na sobie podobnie granatowy kolet z zawiniętymi od przodu połami, przepasany wążuchnym, w srebrną łuskę, paskiem, na którego pendencie zwieszał się długi i szeroki rapir. Złote hafty przy dziurkach, takiesame u kołnierza galonki i na ramionach szlifły bogate wskazywały, że prowadzący straż przednią był officerem wyższego już stopnia, a jak to pan Wielowiejski po olbrzymim wzroście i wielkich wążach rozpoznał, był to pan Fryderyk Gordon natenczas major gwardyi konnej koronnej, ulubieniec króla i pana łowczego. — Na dwa może tysiące kroków poza strażą przednią, która już minęła cmentarz niegowicki, wysuwały się z miasteczka coraz liczniejsze szeregi dragonii, prowadzonej przez kilku officerów, z których trzech na przodzie a czterech przelatywało wzdłuż całej kolumny, to znowu niktęło w miasteczku, jakby pilnując porządku i rozpatrując się z nieznanej sobie okolicy. I zaraz wysunęła się ku cmentarzowi ciężka i wielka kolasa, przechylając się w błotniste wyboje, to na jedną, to na drugą stronę. Sześć roslých koni w bogatej uprzęży z dwubarwnymi kitami, powiewającymi z międzyuszu końskich, ciągnęło karocę, posuwając się zwolna po błotem rozmieszanej drodze. Pomimo dokuczliwego gorąca były u karetę szyby podniesione, możnaby nawet było sądzić, że wewnątrz nikogo tam niema, gdyby nie officerowie, którzy od czasu do czasu przyskakiwali do drzwiczek, osadzali konie i, salutując z uszanowaniem, raportowali lub też oczekiwali na jakieś rozkazy. Natenczas opadała szyba, wychylała się z karocy ogromna peruka i, jakby nasyłując meldunku, potakiwała lekkim ruchem głowy, poczem widać było rękę odzianą w łosiową rękawicę, z karwaszem po łokieć, która wskazywała ku Krakuszowicom, jakby wydając jakoweś instrukcje. Oprócz peruki i ręki świadczyły, że karetę w swoim wnętrzu ma więcej mieszkańców, cieniutkie głosy kobiece albo okrzyki przestraschu, które się przebijały przez szyby, jeżeli się kolasa zanadto przechyliła w wyboję. Za pojazdem dopiero opisany postępowały dwa szwadrony gwardyi, a dalej ariergarda z kilkunastu dragonów zamykała pochód. Słońce dochodziło właśnie do środka błękitów, upał zwiększał się niezmiernie, od

woniejących łąk dochodził przeciągły ryk bydła, a z dzwonnicy niegowickiej świątyni rozlegał się poważny głos dzwonu, rzucający dźwięki odwiecznej modlitwy, kłócający się dziwnie z chrzęstem bijących o ostrogę szabel i głuchym tętentem ciągnącej konnicy, której szpica rwała z kopyta na przyleczie Krakuszowie, spoglądając ku nadwiślańskiej dolinie. Coś ważnego zająć musiało z tamtej strony przełęcz, bo kilku jeźdźców, oddzieliwszy się od szpicy, sadziło w największym pędzie ku officerowi prowadzącemu straż przednią. Gordon, odebrawszy-raport ruszył cwałem ku głównej kolumnie i, salutując stanął przed karocą, z której wychyliła się głowa, potrząsająca peruką, to na jedną, to na drugą stronę. Po chwili rozmowy odskoczył Gordon ku dragonii, a dobyty rapir błysnął nad jego głową do promieni słońca; przeciągły odgłos trąbki przeniknął powietrze: niby skamieniała, przystanąła cała kolumna, tylko officerowie, otoczywszy Gordona, po otrzymaniu rozkazów uwijali się w całym pędzie koni między szeregami. Nareszcie zabrzmiała komenda, chrzęst stali zawtórzył jej głucho, rapiry łysnęły w rękach dragonów, którzy, zjechawszy teraz na przydrożną łąkę, rozwijali się na niej w długą wyciągniętą linią, czerwieniejącą zdala, niby polne maki. Gordon z dwoma officerami poskoczył na czoło kolumny, przejeżdżał przez chwilę przed frontem, nareszcie wskazał rapirem na las krakuszowski i naraz z tej czerwonej ściany odłamały się dwa oddziały od prawego skrzydła, ruszając z kopyta ku Krakuszowicom, podczas gdy główna kolumna, zjechawszy na drogę, postępowała za karetą w bojowym ordynku.

Wszystkie te ruchy, tak niespodziewane i szybkie, zdziwiły niemało patrzącego z altany pułkownika, świadczyły one bowiem o niebezpieczeństwie, jakie się zagrażało zdawało królewskiemu wojsku, a leżało jak na dłoni, że te dwa oddziały pod wodzą Gordona — to silny rekonesans, końcem zbadania lesistego przełęczą Krakuszowie i Zborzyc i z tamtej strony z niemi graniczących wiosek.

— Nic innego — mówił do Druźbica pan Antoni, śledzący lunetą dalsze ruchy wojska — nic innego powiadają, ino się boją zasadzki w krakuszowskim lesie.

— A może za rekwirunkiem posłali — odrzekł zamyślony Druźbic — wždy południowa godzina, czas futrować konie.

— Nie zaś — odparł Wielowiejski — bo uważałeś Wasze, jak coś Gordonowi meldowała szpica, ino, że boją się lasu i głowę-bym dał, że major na przełęczu spieszy słych dragonów i będzie śledził za pomarańczami³⁾ w lesie pana Dębickiego; ale, *ni fallor*, tam pewnie same szyszki znajdzie.

Jak-gdyby na zaprzeczenie żartom pułkownika, pojawiła się od dworu wysoka postać kobieca, dążąca szybkim ku altanie krokiem. Była to pani Róża z Dalków Wielowiejska, młoda jeszcze, tęga i zamaszysta brunetka, o dużych czarnych oczach, których blask przyćmiewały jedwabiste rzęsy, nadające całej twarzy nieporównany wyraz słodczy, jak znowu gęste czarne brwi, silnym zakreślone łukiem, ujawniały niezwykłą energią, która się zresztą odznaczała w bujnie rozwiniętej kibici i raczej męzkich niż kobiecych ruchach.

— Waszmość tu się bawicie śmiechami — rzekła marszcząc czoło — a tu ciągną wojska prosto na Zborzycę.

— Patrzymy prawie już od pół godziny — odparł Wielowiejski — jak dragonia ciągnie, a Aśka pomyśl, jak ją godnie przyjąć, bo, nie chybi, pewnie utkną na nas.

— Jaka dragonia świta po głowie? — przerwała zdziwiona pani Róża.

— Ano dragony i gwardya Lettowa, — mówił pułkownik, żonie podając lunetę: przypatrz-że się Aśka...

— Na rany Jezusa! — krzyknęła naraz pani Róża, załamując ręce — wždy ku Bolechówce cią-

gną chorągwie pancerne, ani chybi, że konfederaci. Pójdźciez-no i patrzcie.

Z pośpiechem biegnąc, stanęli Wielowiejscy z Druźbicem po tamtej stronie ogrodu obok bramy wjazdowej, z kądem (jak mówiliśmy) rozlegał się otwarty widok na nadwiślańską dolinę, i oto co się przedstawiło zdziwionemu pułkownikowi i Druźbicowi, z których pierwszy, błąd od wzruszenia, drugi ze lśniącem od zapalu okiem, patrzeli ku Wiśle.

Traktem od Niepołomic ku Bolechówce ciągnął długą linią liczny tabor konnicy i wozów. Przodem, na wilczatym koniu, jechał mąż roslý w stalowym, złotem nabijanym pancerzu, na którym się zwieszała karmazynowa, futrem bramowana delia; wysoki kołpak zdobiła biała kita, bujająca wspaniale na tle promieni słonecznych a buzdygan, błyszczący zdala w ręce, wskazywał, że ten, co go dzierży, był wodzem ciągnących chorągwi, co zresztą poznać było z licznego orszaku jeźdźców, którzy otaczali przodem jadącego, a wszyscy w pancerzach lub w szubach i deliach, w kołpakach albo rogatywkach kipiących na ucho, na dzielnych koniach, przybranych suto w pozłociste rzędy. Poza tym pomieszany tłumem, jadącym bez ordynku, ale jak kto chciał, to wyprzedzając pierwszy, to się cofając w ostatnie szeregi, szły dwie dobrze pokryte chorągwie pancerne ze sztandarem zwiniętym na drzewcu, który las kopii otaczał. Za niemi, głucho dudniąc, ciągnęły karabany i wozy nieprzeliczonym szeregiem a dalej lekka chorągiew i kilkadziesiąt luzaków z „podwodnemi“ końmi. Było widocznie oddział konfederatów, oile sądzić było można z licznego taboru wozów i koni podwodnych, które *more antiquo* prowadziły za sobą chorągwie pancerne⁴⁾. Niedługo też przypłynął potężny chór pobożnej pieśni i, brząc poważnie pośród południowej ciszy, zlewał się z szumem lasu w harmonijny akkord:

„Stawam na placu z Boga ordynansu,
Rangę porzucam dla Nieba wakansu,
Dla wolności ginę, wiary swej nie minę:
Ten jest mój hazard“.

Brzmiał ów hymn poważny i najpierw melodia a później i słowa dolatywały do ogrodu, płynąc zgodnym chórem po falach powietrza.

Pułkownikostwo stali zapatrzeni i prawie oniemiali z przerażenia, nie było bowiem wątpliwości, że lada chwila wysunie się z krakuszowskiego lasu dragonia z Gordonem na czele i z całym impetem runie na nieprzygotowanych do boju konfederatów, ciągnących w nieładzie, bez najmniejszych środków ostrożności. Pierwszy oprzytomniał Druźbic.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z NIEŚMIERTELNYMI.

With the Immortals by F. Marion Crawford.

(Dokończenie)

Cezar przyrównywa miłość do wielkiego wodza i stratega: rzadko kiedy pomija ona sposobność do zaskoczenia nieprzyjaciela zniemacka, a nigdy nie odmawia mu otwartej rozprawy, gdy bić się potrzeba.

4) Jak się odbywały podobne wyprawy konfederatów, mamy dowód we współczesnym źródle: „Z takim tedy towarzystwem — powiada Kitowicz — wyprawił się N. na wojnę, suto, bogato, z apparatus wielkim w koniach, w rzędach i siedzeniach bogatych, prowadząc za sobą wozy poszóstne, napakowane sprzętami stołowemi, kuchennymi od srebra i miedzi, pościelami, namiotami i innemi do wygody i okazałości służącymi ruchomościąmi“. — „Pamiętniki ks. A. Kitowicza“ Lwów, u Gubrynowicza i Schmidta 1882. t. I. str. 137.

3) Alluzya do czapek pomarańczowych, które nosili stronnicy partyi saskiej, a w początkach konfederacyi barskiej większa część konfederatów.

Miłości poetów! Diana zwraca uwagę, że sławne na całe świat uczucia łączą się z nazwiskami działwy apollinowej. Miłość albo natęchnęła sławne poematy, albo jest ich przedmiotem. Heine wyjaśnia ten fakt — powszechnością i potęgą miłości. Każdy chciałby o niej czytać; każdy radby, choć przez podstawienie, być bohaterem lub bohaterką tkliwej przygody miłosnej. Chłopiec w szkołach lubi już marzyć o tem, jak będzie przesadzał góry i wdzierał się na zawrotne wierzchołki, aby się tylko dostać do okna kobiety, którą — zdaje mu się, że pokocha. Człowiek dorosły z rozkoszą stawia sobie pytanie: Czy będzie miał odwagę rzucić świat dla kobiety? i zazwyczaj odpowiada sobie: „Nie!” — dopóki nie znajdzie się na kwadrans księżycowej nocy nocy samnasam z ukochaną; a po tym kwadransie posyła już świat cały, z wyjątkiem swej jedynej — na cztery wiatry.

— Mężczyzna jest jakby igłą kompasu — rzekł August — kobieta magnese. Gdy jej niema, jego uwaga nie odwraca się nigdy od jego własnych samolubnych interessów, jak igła magnesowa dochowyje wiary północnej stronie nieba. Ale niech-no się tylko kobiety, a zaraz zacznie niespokojnie bić skrzydłami, jak ptak przed burzą.

— Byłoby do życzenia, aby kobieta nie stawała nigdy przed linią poważnych zadań życia mężczyzny — rzekł Heine.

— Nie było jeszcze człowieka, któryby mógł jednocześnie służyć swemu interessowi i swym namiętnościom. „Oczyść swój rozum z tego, co go mroczy, a będziesz silnym; jeżeli namiętność owdładnie twym umysłem i zapanuje nad nim — mdłym tylko być możesz“, — zawyrokował z nakazującą powagą Cezar.

August porusza sprawę wspomnień miłości przeżytych. — Czy wspomnienie może być zarazem smutnem i radosnem? — rzuca pytanie Heine, a Bayard odpowiada: — Jeżeli kocham niepospolitą a wierną mi kobietę, a kobieta ta umie, serce moje napęla się błogością na myśl, że poszła do nieba, ale oczy zachodzą mi łzami, że odeszła odemnie. Radość moja jest dla niej, lzy moje dla mnie: i radość i lzy są szczerze. Jeżeli się zawiódł na kobiecie, będę pracował nad tem, aby o niej zapomnieć. Jeżeli wzajemności nie znalazł, to przez miłość dla kobiety szczęśliwym będę, gdy wyjdzie dobrze za mąż, a dla samego siebie zachowam smutek.

— Ale jeżeli cię zdradziła, kawalerze, a ty zapomnieć jej nie możesz? — spytał Heine.

— Rozejrzę się, czy nie znajdę pocieszenia gdzieindziej.

— Z inną kobietą?

— Nie! w świętem życiu.

W końcu rozmowy zapytuje Lady Brenda, wpijając wzrok w twarz króla Franciszka:

— Ile razy w życiu kochać się można?

— Raz jeden — odpowiedział Heine — i tego już zawiele.

— A ja gdybym miał jeszcze ziemskie życie, nie znużyłbym się nigdy miłością.

— Człowiek — zakończył Johnson — przychodzi na świat z pewnem uzdolnieniem do miłości. Jeżeli zdolność jest wielka i cała ześrodkuje się na jedno silne przywiązanie do jednej tylko kobiety, — wynika z tego namiętne uczucie, które może wzbić się na wyżyny wzniosłości. Jeżeli przeciwnie cała potęga kochania rozproszy się na skłonność ku przedmiotom niegodnym, wtedy małuczkie skutki nie zasługują na miano namiętności, ani też na zaszczyt nazywania się miłością. Może się wprawdzie zdarzyć, że jeden człowiek w dwóch różnych okresach życia będzie kochał dwie różne kobiety z równie wielkiem oddaniem się; ale wątpliwe: czy może już kochać trzy, a na pewno mówię, że nie może kochać dwudziestu. Sam ten fakt, że najsłabsza nawet inteligencja uważa podobną wielokrotność czystej miłości za potworną niedorzeczność — dowodzi dostatecznie istnienia granicy. Umysł ludzki nie jest zdolnym do częstego powtarzania doświadczeń z silniejszymi uczuciami, bez przyzwyczajania się do nich, a do czego się przyzwyczajamy, to już szczerze, głęboko zajmować nas nie może. Dla człowieka, jako istoty ziemskiej, miłość jest temsamem,

czem religia dla duszy nieśmiertelnej. Jak Chrześcijanin, wierzący żarliwie w jednego Boga, lepszym jest od poganina, dzielącego swą wiarę pomiędzy wiele barwanów i usiłującego obdzielać nią wszystkie zarówno, taksamo i mężczyzna lepiej kochał, jeśli kochał jedną tylko kobietę, niż gdy miłością swoją wiele obdzielił.

— A jednak głupstwem zrobił, że zamała kochał! — rzekł Franciszek, śmiejąc się w głos. Cień porzuconej blondyny daremnie mu się ukazywał. Na ziemi, czy w wieczności, król był równie niepoprawnym.

V.

Noc zapada. Cezar oddala się z Heinem i obaj przeprowadzają Pascala, potrzebnego do rozmów o religii i moralności, na które teraz kolej przychodzi. Na pytanie: czy ludzie są dziś lepsi czy gorsi, niż dawniej? — odpowiada Heine: Ludzkość jest, jaką była, tylko widzimy ją zwróconą w stronę cnoty. Myśli rozmawiających wracają na tor Saint-Simonizmu. Cezar znowu rzecz prowadzi w duchu pierwszej swej rozmowy. Jego zdaniem, wszystkie teorie uszczęśliwienia Ludzkości opierały się na przypuszczeniu nieprawdopodobieństwa, mianowicie doskonałej tożsamości wszystkich ludzi — tożsamości, która pojęciowo nie wspólnego nie ma z równością. Pascal przyswiadcza Cezarowi, że ludzie mogą być wolni i równi, ale nie będą nigdy sobie braćmi. Heine przypomina Tertuliana: „Patrz, jak ci chrześcijanie kochają się pomiędzy sobą“. Pascal twierdzi, że nieśmiertelności zarówno dowieść, jak zbić niepodobna. Człowiek, który porywa się na dowiedzenie, że niema duszy, a dowieść tego nie zdoła, występuje z przeczeniem równie szalonym, jakgdyby powiedział, że przestwór niebieski nie ma już gwiazd poza granicami, do jakich sięga najpotężniejszy teleskop. Człowiekowi dni naszych trudno zrozumieć, w jak głębokich jeszcze pograżony jest ciemnościach. Jedyną rzeczą, która pociągała ku sobie zawsze umysły filozofujące, była pewność nieśmiertelności duszy. Większość przyjęła teorię Platona, która ostatecznie była najlepszą; przyjęła ją też pierwotne Chrześcijaństwo. Jeżeli trwałość jest probierzem prawdy, to Nauka Chrześcijańska ma potężniejszą podstawę od jakiegokolwiek bądź teorii naukowej, które jedna po drugiej padały, a Chrześcijaństwo stoi i stać będzie wieki. Jeżeli cokolwiek bądź na ziemi ma prawo odwoływać się do zdrowego rozsądku Ludzkości, to, za prawdę, przedewszystkiem — ta boska słodycz Chrześcijaństwa dni dzisiejszych, po dziewiętnastu wiekach istnienia. Kto był fanatykiem: czy Chrystus, który prostemi słowy wzywał ludzi do czystego życia, czy Giordano Bruno, który nazwał Chrystusa szarlatanem i chełpił się z tego, że sam umiałby lepsze cuda robić?

Cezar spogląda znowu na religię ze stanowiska interessu państwowego, a Heine w Chrześcijaństwie widzi dwa oblicza: ludzkie i boskie, stwierdzając zaś jego poetyczność mówi, że religia ta musi być dobrą, bo dała podstawę do najpiękniejszej w świecie poezji.

Moralność, uważa Pascal za kodex praw, tak ułożony, że kto się go pilnuje, ten we własnej sferze swojej może się wzbić do największej wyżyny, bez szkody dla siebie lub zakłócenia ze strony sąsiada. Moralność jest ludzką stroną Chrześcijaństwa tak, jak wiara w odkupienie — jego stroną boską. Etyczny systemat Chrześcijaństwa na wierze w Boga oparty nie dałby się poza obrębem pojęć chrześcijańskich ułożyć; żadna inna etyka nigdy tak wysokich celów sobie nie wytknęła i w dążeniu do nich tyle nie zdziałała.

Heine temat związku twórczości poetyckiej z religijnością rozprawdza na przykładzie: — Najpiękniejszym poematem świata jest *Księga Hioba*, po niej idzie *Iliada*, potem *Boska Komedia*, następuje *Raj Utracony*, a ostatnim wielkim poematem jest *Faust*.

— Ależ *Faust* nie był pisany pod wpływem uczuć religijnych! — zauważyła Guendolina.

— Ja sędzę, że był. Dla mnie *Faust* jest poszukiwaniem dróg zbawienia. Nie mógł Goethe

przeprowadzać *Fausta* przez szereg straszliwych pokus na to, aby go ostatecznie ukazać zbawiającym swą duszę przez dobre uczynki bez religijnego porywu. Nikt dziś nie pisuje hymnów religijnych po Miltonie, ale religia ma tak ogromny dział swój w poezji, że wątpliwe — mówi Heine — czy ten, ktoby absolutnie nie o chrześcijaństwie nie wiedział, zrozumiałby choć pięć zwrotek którego-kolwiek z lepszych poetów nowożytnych. Chrześcijaństwo przejmuję wszystko, co myślimy, piszemy i czynimy. Błuzniercy daremnie tylko krew sobie psują, jak daremnie małe dziecko bije piąstkami swemi w drzwi, które się przed niem otworzyć nie chcą. Ateiści byłiby mniej gwałtownymi w swoich wycieczkach, gdyby mieli istotne przekonanie, że niema Boga. — Pascal dorzuca myśl, że i wszelkie reformy przeciwne Chrześcijaństwu, rozbijając się o nie będą, a Cezar wstrząśnienia i zaburzenia dzisiejsze przypisuje podmuchoom niereligijności. Autor *Listów z prowincji* zakończy rozprawę śmiałym zdaniem, że gdyby przeszło jeszcze do przewrotu w rodzaju Rewolucji Francuzkiej — wynikłaby z niego wojna domowa, w której hasłem byłoby pytanie: „Wierzysz, czy nie wierzysz, w Boga?“

Następnego dnia barwny motyl rozmowy siadał na wielu kwiatach, najczęściej wracał wszakże do literatury i najdłużej się na niej zatrzymywał. Johnson mówi o poezji, że celem jej jest wzbudzenie uczuć przez obrazy życia. Podobieństwo w porównaniach występujące musi być podobieństwem doznawanych wrażeń, a nie samych porównywanych rzeczy. Dowcip jest tem lepszy im więcej myśli w człowieku porusza. Zadanie dowcipu jest takie jak barometru: powinien ostrzegać o niepogodzie, wytykać zło w życiu. Afryka obywa się bez barometrów, a w niebie niema miejsc na dowcip. W przeciwstawieniu do dowcipu humor ma jedyny cel w wywołaniu śmiechu; co sprawiedliwe i niesprawiedliwe wcale go nie obchodzi. — Cezar, przysłuchujący się rozmowie, zakończy ją przyrównaniem humoru do parady, a dowcipu do bojowej już rozprawy.

Czego człowiek najwięcej, ciągle i szczerze, pragnie w życiu? — Szczęście, oczywiście, a co jest szczęście — mówi nam Cezar:

— Stan, w którym wszystkie najszlachetniejsze porywy człowieka istnieją, trwają i doznają zaspokożenia, nie wpadające w przesyt, a niegodne namiętności powstawać w duszy nie mogą. To jest szczęście ludzkie, ale go doścignąć niepodobna.

Według Heinego pojęcie namiętności dobrej zależy od oświaty. Im ludzie są oświeceni, tem większe też jest prawdopodobieństwo wytwarzania się w nich pojęć szlachetnych. Ale szczęście dla wielkiej gromady ludzkiej nie przestanie być jednoznaczne z pomyślnością i powodzeniem zewnętrznem w życiu. Pogoń za takim szczęściem jest nierozumną, a najlepszą drogą do stanu szczęśliwości otwiera przed nami stłumienie w sobie wszelkich w ogóle pragnień ściśle osobistych. Człowiek wtedy jest tylko szczęśliwym, kiedy się szczęśliwym czuje; jest to stan najgłębiej subiektywny. Im więcej idei dźwigamy w sobie, tem mniej mamy widoków szczęścia przed sobą, gdyż idee właśnie oznaczają pragnienia, które muszą być spełnione, aby się umysł mógł uspokoić. Filozofom się zdaje — mówi Cezar — że ktokolwiek zważa na nich i przykłada sobie ich plasty łączące. Teoryami nie zapewnia się szczęścia i nie prowadzi się świata. Heine określa dosadnie szczęście filisterskie, a Spencera nazywa amerykańską kobietą przyszłości. Nowoczesna filozofia gniewa poetę przez to, że usiłuje zamienić człowieka w machinę i wdziera mu wolność, pod pozorem właśnie obdarzania go wolnością. Spekulacje filozoficzne na temat wolności rozpoczynały się zawsze dopiero po utracie jej samej, jako rzeczywistego dobra w życiu.

Ostatniego dnia wraca Leonardo, który w poprzedniej rozmowie nie uczestniczył, i wyklada swoje pojęcia i żywe zasady sztuki. Piękno nie przestanie być nigdy jej religią, a kopiowanie brzydoty dla brzydoty — herezją. Sztuka historyczna protegowana przez państwo — jest zdrożnością. Trzeba malować wszystko, aby

się nauczyć malowania piękna, a pierwszej spótkanej głowy charakterystycznej, brzydkiej czy pięknej — nie puszczać bez utrwalenia jej na płótnie.

Towarzystwo robi popołudniu wycieczkę na morze ku Wyspom Syren — wyspom szczęśliwości. W drodze cienie zmarłych, jeden po drugim, zjawiają się na pokładzie jachtu i otaczają wieńcem tak już dobrych swych znajomych. Wkoło historycznych ich postaci błyskają myśli jeszcze niedopowiedziane. Dla Bayarda lęk człowieka przed czynem, — rzadko kiedy wstrzymuje go od rzeczy istotnie złej. Trwogę rzuca sam dyabeł pomiędzy człowieka a dobry uczynek. Dla Cezara jedyną męczarnią jest bezczynność. Wczoraj jest tylko wspomnieniem, jutro wiecznie ucieka, dziś jest tylko rzeczywistością. A gdzie twoje *dziś*, Cezarze?

Noc księżycowa; słyhać śpiew syren; dusze już nastrojone na nowe marzenia; ale cienie zmarłych rozplywają się w powietrzu, zostawiając żywym wyrok, że nigdy nie przybiją do brzegu. I nie przybili też do tych wysp szczęśliwości, wsłuchywali się tylko długo w hymny i ballady śpiewane przez tajemnicze istoty. Symbolika nieśmiertelnej tęsknoty, rozlanej w świecie a przenikającej lepsze dusze ludzkie, skończyła się wraz z pierwszym dnia brzaskiem. O wschodzie słońca dopiero powróciła rodzina Lady Breuda do Castello del Gaudio.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

LXXVII.

Fedra, Racine'a, tragedia w 5-ciu aktach z francuzkiego (przekład W. Kopystyńskiego, — wznowiona d. 30 Września w Teatrze Wielkim.

Pomiędzy 1820 a 1830 r. piękny utwór Racine'a ukazywał się nieraz na scenie warszawskiej — w tych dobrych dla niej czasach, w których publiczność teatralna pożądała tragedii, a artyści dawać ją umieli. Później było ludziom tak już dobrze w życiu, że i z teatru tragedią wygnali: Szekspirowie, klasycy greccy i francuzcy, współcześni dramaturgowie, oryginalni i obcy — przez jakie trzydzieści lat nie mieli prawa obywatelstwa na scenie. Funkcyj dramatu poważnego pełnił melodramat, w owej epoce kwitnący, a publiczność dostatecznie się nasycala komedią sytuacyjną, obrazem mieszczańskim i sztuką wogóle uczuciową. Wstręt od tragedii był taki, że nawet *Normę* przestano na afiszach nazywać operą tragiczną. Dopiero przed dwudziestu laty Modrzejowska dla Shakespear'a sforosowała wejście na scenę, a wielkimi zdolnościami swemi zapewniła mu prawie dziesięcioletnie panowanie; — w panowaniu tem wszakże żywił honorowego uznania dla geniuszu był silniejszym od żywił istotnego, podbijającego wpływu. Jednocześnie, a może nawet trochę wcześniej, wprowadził Królikowski *Zbójców*, znanych niegdyś Warszawie tylko z V-go, popisowego aktu, — a za *Zbójcami Intrygę i Miłość*. *Zbójcy* się przyjęli i liczyć mogli zawsze na dobrą kasę. Wogóle krzesła, galerye i paradyz — zastępując pod względem estetycznego sądu dawny parter — podtrzymały honor publiczności, a szczerza znowu praca artystów dowodziła dbałości o honor teatru. Prócz Modrzejowskiej i Królikowskiego zasłużył się dramatomu poważnemu i p. Rapacki, i to dwiście: jako aktor i jako autor. W początkach swej działalności rwał się do dramatu i p. Ładnowski. Dziś p. Kotarbińskiemu nieraz silniej serce uderzy dla jakiegoś znakomitszego utworu. Wszystko to razem wzięte pozwala powiedzieć, że mamy sztukę sceniczną w wielkim stylu, ale nie pozwala jeszcze twierdzić, abyśmy mieli sztukę

dobrą, i dla takiej sztuki dobrą publiczność. W całej Europie ciężko idzie dramatomu; musi on sobie mozolnie wyrabiać własną swoją publiczność w kołach młodzieży i klas intelligentych; a ponieważ u nas stosunek liczebny tego wyborowego materiału jest słabszym, niż na obczyźnie — więc i dramatu u nas przez to samo już w cięższych warunkach żyć musi.

Fedre Racine'a wznowiono u nas przed ośmiu lub dziewięciu laty. Dano ją kilka razy a po przerwie paroletniej znowu przedstawiono. Obecnie jej wprowadzenie na scenę jest trzecim z rzędu. Z kilku przekładów, które mamy, wybrano od razu najlepszy, Wincentego Kopystyńskiego, i tego już stałe się trzymało. *Fedra* pierwszego powołania była Naciewiczówna, drugiego Derynżanka, a po niej p. Rakowiczowa; na trzecie powołanie wreszcie odpowiedziała p. Noiret podjęciem się trudnego zadania. Jest to rola panująca nad innemi, i rzetelnie dramatyczna i zarazem popisowa; prawdziwy talent z rozkoszą przełamuje liczne jej trudności.

Wolno lekceważyć sztukę pseudo-klassyczną, jako kunszt plastyki duchowej człowieczeństwa i artystyczne malowania życia, wolno przedrwiwać jej koturna i peruki i sztywność, jej chłód deklamacyjny, jej klasyczną jedność miejsca i czasu; ale sumienna, nie jednostronna, krytyka pomimo wszystkich wad, aż do przesytu stwierdzanych, dostreże w niej zawsze wiele piękności, dosłyszysz szczerą, głęboki głos serca ludzkiego, odczuje żar buchający z duszy. Są to wprawdzie objawy epizodyczne, ale są. I sztuka antyczna, rażąca nas, istoty ruchliwe, drętwickowe, — swoją posagowością — kryje w sobie niejedną piękność jakby z piersi dzisiejszego człowieka wyrwaną, zdolną zapalić i podnieść, rozgrzać i uszlachetnić. Co jest dla nas głównym złem w tej sztuce klasycznej i pseudo-klassycznej? Czy sztuka sama, pojmowana jako siła, metoda i robota? Nie. Nie lgniemy do tych utworów głównie dlatego, że nie znamy i nie rozumiemy życia, z którego sztuka dawna miała dla siebie tworzywo i paliwo. Oddaliliśmy się ogromnie od Starożytności przez to stulecie ubiegłe od Rewolucyi Francuzkiej; mgły i mroki zasłoniły nam dawnych ludzi i ich wierzenia, czyny i sprawy, cały ich sposób życia, myślenia i uczucia; i dlatego stoimy zimni wobec utworów, które w Grecyi poruszały tysiące i dziesiątki tysięcy słuchaczy. Prawda! Były one ich własnymi, stawały im przed oczy własne ich wyobrażenia, własne wypadki i własnych bohaterów; jak my dziś znowu mamy w sztukach swoich własne swe pojęcia i obyczaje, własne wypadki, w typowej ich bezimienności, własnych bohaterów występku, cnoty lub rozsądku praktycznego — mamy samych siebie. W tem odwróceniu się od Starożytności jest tylko nieuchronny fakt rozwoju: człowieczeństwo zbiorowe przechodzi w coraz-to nowe formy, i coraz też nowych pożąda.

Erypides już opracował podanie o *Fedrze* w swoim *Hippolytosie*. Racine od Eurypidesa odstąpił, ale podania samego nie zmącił i umiejętnie nawet związał je z innemi współczesnemi, a wogóle wzbogacił i wzmocnił tkanę wydarzeń tragedii greckiej. Usunięcie Artemidy i Afrodyty było koniecznem. U Racine'a namiętność *Fedry* taksamo rozwija się podczas nieobecności Tezeusza, ale powrót króla do Attyki bujniej się przedstawia a stosunek jego do wydziedziczonej dynastyi Pallantydów owiele suciej i poważniej występuje, i w nim samym, i w Arycyi, i w radach dawanych przez Oenonę i w pobudkach czynów *Fedry* i *Hippolytosa*. Całą rolę Arycyi poeta francuzki samodzielnie wytworzył, a przez dodanie jej wiele zyskały nietylko same udratyzowane dzieje, ale i charakter *Hippolyta*. Charakterowi temu dał Racine doskonałe upostaciowanie, dał dramatyczność, o którą Grek dbał tak mało, że ani razu młodzieńca wobec *Fedry* nie postawił.

Wyższości ogromnej nabrał syn tezeuszów u Francuza przez usunięcie osobistej, nieartystycznej wycieczki Eurypidesa przeciwko kobietom — wobec niemej *Fedry*! Pięknie go Racine wzięł miłości czystej, a nie mdłej, zespolił z Arycyą. — Ta miłość ziemiska jest u Francuza równoważni-

kiem miłości boskiej, wprowadzonej przez Eurypidesa do stosunku *Diany* z *Hippolytem*. Ma Grek swoje piękno w ostatnim pożegnaniu się bogini z umierającym wybrańcem jej serca a towarzyszem łowów; ale ma i swoje Francuz w wynurzeniu się syna tezeuszowego przed Arycyą. Sama *Fedra* w początku posiada rysy, i nawet zdania i wiersze zapożyczone od Eurypidesa, i taksamo rwie się romantycznie do natury i śmierci; ale jej tęsknotę i żalność Grek powabniej odmalował, czyniąc z nich w tym momencie psychologicznym charakteru jeden z najwspanialszych pomysłów i obrazów poezyi greckiej. Później już, taksamo u Eurypidesa, jak u Racine'a — *Fedra* duchowy blask swój traci przez fałszywe oskarżenie *Hippolyta*; tylko że dramaturg francuzki ten zamierzch duszy przynajmniej usprawiedliwić usiłował, przeprowadziwszy go w dyalogu, w którym żywił praktycznego egoistycznego rozsądku w Oenonie przewagę nad godnością ducha cierpiącego odnosi. W tragedyi greckiej Tezeusz spotyka się już z trupem żony; we francuzkiej z żywą jeszcze, i dwukrotnie, rozmawia. Trucizna Francuza jest mniej wstrętną od postronka Greka. Całe opowiadanie napaści potworu morskiego klasycznie piękne, wzięł Racine żywcem z Eurypidesa i dobrze zrobił. Ze skolem *Fedry* u Francuza kończy się cała tragedia; u Greka zaś wnoszą jeszcze na scenę umierającego młodzieńca, dla dwóch wzruszających, czystych, iście pod przezroczem nieba greckiego ukazanych scen: pożegnania się *Hippolyta* z ojcem i z ukochaną boginią. Te dwie sceny wraz z trzecią, wyżej już wskazaną: rozpacz miłosnej w *Fedrze* — i z opowiadaniem *Posła* nie pozwolą utworowi, Eurypidesa zniknąć z literatury powszechnej. Słaby i przez dobre tylko chóry usiłujący się ratować środek tragedii — sprawia takie wrażenie, jak gdyby statwę zgruchotaną przez jakiegoś barbarzyńcę, inną, już niedołęźniejszą, odtwarzała ręka. Nierówności takich pełno jest w Eurypidesie.

Rola Oenony, nazwanej przez Greka wprost „Mamką“, nastroża jeszcze niejedno spostrzeżenie, jak wogóle uwagi powyższe wytykają główne tylko punkta porównania; ale ich pogłębiać i rozszerzać na tem miejscu nie mogę. Zalety samego utworu Racine'a streścić się dają w doskonałości psychologicznego rozwoju dwóch charakterów głównych, oraz dodanego przez poetę charakteru Arycyi. Mówiąc przecież o rozwoju, mam na myśli już gotowe, z dusz wyszłe objawy, a nie samą dusz tych wewnętrzzną pracę. W duchowej budowie *Fedry* u Racine'a razi nas to, co znowu jego samego raziło u Erypidesa: fałszywe oskarżenie *Hippolyta* przed Tezeuszem, — czy z pierwotnego podania wzięte? rozstrzygnąć już nie podobna. Ponieważ jednak historyczność czasów przedhistorycznych wobec poetyczności niema najmniejszej wagi; poezya zatem mogła i powinna była zrobić, nie to, co podanie przyniosło, ale to, czego wymagało wrodzone każdemu dramaturgowi poczucie prawdy człowieczej i potrzeba wytworzenia z danego charakteru pięknej całości. Całość tę łamie, druzgocznie poddaje się kochającej *Fedry* pod niegodziwie trzeźwą namową Oenony i świadome przez to wpełnienie ukochanego młodzieńca w przepaść. Kobieta może w ten sposób zgubić człowieka, który jej uczuć nie wywzajemnia; ale do takiego czynu podłej zemsty lub rozszalałego gniewu potrzebuje namiętności niepowstrzymanej niczem, huczającej jeszcze z całą potworną swą potęgą, leżącej ciągle jeszcze do celu nieopatrnie, nieświadomie, jak kula wyrzucona przez nieznaną sobie siłę. Jeżeli w taką namiętność bezwiedną uderzy nagły błysk świadomości, że ukochany a oporny kocha inną kobietę — ze starcia powstaje żądza zemsty lub gniew tak gwałtowny, tak wstrząsający duszę, że, wprawiając ją w stan zupełnego chaosu, zemście nawet wykształtować się nie pozwala i występuje już jako czysta a niszcząca siła natury. Tymczasem *Fedra* rasińska ani w natężeniu swej namiętności, ani w postanowieniu śmierci, które doprowadza do skutku niezależnie od następstw fałszywego oskarżenia, ani wreszcie w sposobie odbijania się *Hippolyta* w jej wyobraźni — nie znajduje dla siebie prawa ani do zemsty ani do gniewu i, ulegając Oenonie, dopuszcza

się czynu psychologicznie błędnego a artystycznie szkodliwego. Racine, chcąc dochować wiary podaniu i Eurypidesowi, nie umiał czekać, i w zbyt-niej gorączkowości przyspieszył chwilę oskarżenia. Gdyby był cierpliwym, znalazłby doskonały dla niej punkt czasu po oświadczeniu się Hippolyta córce Pallantydów. Wtedy—to co innego: wtedy już kobieta kochająca bez wzajemności mogła sobie powiedzieć: „Nie będzie dla mnie, ale nie będzie i dla niej — nie będzie i dla samego siebie: niech ginie!”

Fedra odznacza się pięknym wysłowieniem. Wyobraźnia, zjednana dla pióra, nie skąpiła mu ani czystych, wyrazistych rębów, ani farb nadających utworowi siłę zjawiskowości i uroczy koloryt. — Banalnie nazywa się to językiem; rzeczywistość jest poezją, poetycznością myśli, szukającej dla siebie czystych i ujmujących postaci, bo w innych czułaby się nie swoją jakąś, obcą i nie-doleżną. Tak zwany „język” jest właściwie zbiorem pięknokształtów myślowych, a prawdziwy język, czyli pewien systemat wyrazów mowy wyprowadza je tylko z wnętrza duszy twórczej nazewnątrż — przyczem może nie zawsze być godnym dla nich przewodnikiem. Tłumacz polski w pierwszych trzech aktach zasłużył sobie prawdziwie na uznanie; w dwóch następnych pióro mu już omdlało. W całości przekładu usterki są nie-liczne, a wśród nich uderza lekceważenie wpływu przeczenia na formę imion: biernik przy *nie* jak chwast zanieczyszcza tę wogóle nietuzinkową paacę.

Panna Noiret chciała grać jaknajlepiej, grała dość dobrze; a dodać potrzeba, że to *dość* w wielu momentach roli znikalo, po zostawiając samo tylko *dobrze*. To, com od pierwszych początków pisał o głosie artystki, miałem nową sposobność stwierdzić i teraz na Fedrze. Głos ten, dziś już wydobyty na wierzch, podniesiony, nie tak basowy, jakim był, potrzebuje jeszcze giętkości, bez której nie stanie się materialem podatnym dla rzetelnej inteligencji — i tego szczerego demona sztuki, który artystką włada w większych, ambicyą aktora podnieć już zdolnych, rolach. Fedrę grała p. Noiret bardzo nierówno: nietylko wybijanie wyrazów w zdaniach, ale i podnoszenie lub zniżanie całych zdań w rejestrze głosowym według zasady złożonej w samej ich treści nie znajdowało się w zgodzie z tem, czego chciał poeta, czego domaga się sam utwór. Nie mogą tu wnikać w szczegóły: artystka przez myślenie sama je powynajduje — i mam nadzieję, że poprawi — jeśli jej tylko publiczność warszawska nie wytrąci roli z ręki przez obojętność dla sztuki. Opracowanie tej roli — choćby tylko dla jednej sceny z Hippolytem — sownie się opłaci wyrobieniem arcyzmu, które będzie już stała jego zdobyczą. Do studyów nad Fedrą zachęcać artystki nie potrzeba. Niedawno zbierała p. Noiret oklaski i pochwały, za Klotyldę w *Fernandzie*; głos tam nie raził, bo też Klotylda nie jest, tak jak Fedra, wybredną. Sztuka, im szlachetniejsza, tem trudniejsza, a raczej rzadsza, bo gdzie już jest, tam się przyobleka w łatwość i prostotę.

P. Barszczewska nie zepsuła Arycy i nadspodziewanie nawet umiała być stylową. Oenona pani Nowakowskiej nie odpowiedziała skromnym nawet wymaganiom. Ismena klasycznie sepleniła, a Panope odznaczała się nieklasyczną przy-sadzistością postaci. P. Kotarbińskiemu w Hippolycie niezawsze inteligencya dawała to wszystko, co artysta znajdować powinien w gotowej już syntezie wszelkich swych sił i zasobów. P. Leszczyńskiemu powiodło się wejście Tezeusza i parę jeszcze późniejszych rysów; liczne chropowatości trzeba będzie wyrównać. P. Trapszo jako Teramen (poseł) na drugim przedstawieniu nie rozwlekał już znakomitego opowiadania, tak, jak na pierwszym, i dał się już słuchać. Całość przedstawienia, jak słusznie wyraził się w rozmowie zemną Władysław Bogusławski, była próbą — znać, że już nie pierwszą. Początkami zrażać się nie potrzeba: chcieć i pracować dalej z wolą wytwarzania rzeczy coraz lepszych. Cobyło to była za biesiada dla umysłów nieodwróconych zupełnie od klasycyzmu, gdyby na odpowiednio urządzonej scenie najpierwsze towarzystwo dramatyczne w

kraju wstawiło kiedy, choćby tylko *pro honore domus* — *Antygonę* Sofoklesa!

Stanisław Krzemiński.

Kronika działalności kobiecej.

— P. Karolina Szmurłówna, uczennica Alchimowicza, otworzyła kursa malarstwa dla kobiet.

— P. Celina Merczyng, wykształcona w londyńskiej szkole gimnastycznej dla kobiet, zamierza otworzyć w Warszawie zakład podobny.

— P. Pelagia Kijewska otworzyła szkołę rzemieślniczą dla kobiet klas średnich, z opłatą miesięczną rs. 15. Dla uczennic przybywających z prowincyi urządzone jest przy szkole pensjonat.

— Zarząd warszawskich ochron Towarzystwa Dobroczynności po tanowił, aby dozorcynie w tych ochronach były niezamężne. Zarząd musi, naturalnie, mieć wymotywaną zasadę tego postanowienia, mało zrozumiałego na razie.

— P. Marya Żukowska, mieszkanka ulicy Wilczej Nr 3, wyraża za pomocą *Kuryera Warsz.* chęć urządzenia zbiorowych lekcji gotowania i obznajamiania praktycznego uczennic z produktami żywności co do ich dobroci i cen, z dyspozycją obiadów, oraz utrzymaniem naczyń i całego gospodarstwa kuchennego w porządku należytym. Lekcje takie — według planu proponującej — mogłyby się odbywać przy jakiej rodzinie liczącej od 8 — do 10 osób, lub przy której z uczennic, a to celem uniknięcia wydatków na zakup potrzebnych tu materiałów. Opłata za naukę rs. 15 miesięcznie od osoby, przy komplecie złożonym z czterech uczennic, i tylko posługująca przy tem służąca była-by wolną od opłaty, co uważać już należy za rzecz naturalną. Czytelniczki naszego pisma wiedzą, że nauka gotowania i gospodarstwa kuchennego z programem najzupełniej takim samym, lecz tylko bardzo udogodnionym, bo nauka ma stałe miejsce, odbywa się od miesiąca Lipca przy szkole robot kobiecych p. Haliny Tokarzewskiej (Szkolna 8).

— Telegrafistki w biurze rządowym telegrafów otrzymywały dotychczas przez sześć miesięcy pensją telegrafistów klasy III. Obecnie, przy połączeniu urzędów pocztowych z telegrafami, kobiety zostały zaliczone do urzędników pocztowo-telegraficznych klasy V z całą pensją, wyznaczoną etatem dla urzędników tejże klasy to jest 450 rs. Wyszło przecież rozporządzenie nieprzyjmowania już kobiet na aplikacyą do biura telegrafów. Kobiety pracujące w biurach pocztowych zostały bez wyjątku zaliczone do pomienionej klasy, z pensją 450 rs.

— Panna Natalia Wrońska, Warszawianka, która odbywała z ojem dalekie podróże po Indochinach i Ameryce Południowej, zamierza wygłosić w Warszawie kilka odczytów z zakresu tych podróży.

— Zmarła niedawno ś. p. Hortensya Staniszevska zapisała ostatnią wolą swoją: na Instytut chorych nieuleczalnych rs. 3.000; na Instytut Głuchoniemych i Ociemniałych 150 rs.; dla Warsz. Tow. Dobroczynności rs. 200; na kościół po-Kapucyński 200 rs.; na kościół w Kaczkowicach, w Łomżyńskiem 200 rs.; na wykończenie kościoła na Grzybowie 150 rs.; na stypendya dla uczniów i uczennic, z pierwszeństwem dla spokrewnionych z familią Staniszevskich (herbu Pobóg) 8.300 rs.

— Z zapisu Giejsztorowej otwierają się na rok 1889 trzy stypendya, każde po 180 rs., dla niezamożnych, pracowitych i zdolnych studentów urodzonych w Augustowskiem; krewni zapisodawcy ni mają pierwszeństwo.

— Hr. Róża Raczyńska nabyła na własność *Gladiatora* Welońskiego w odlewie z brązu. Posąg ten, zaliczany do najcenniejszych dzieł sztuki rzeźbiarskiej z czasów ostatnich, pomieszczonej zostanie w przedsiönku pałacu ordynatów Krasieńskich w Warszawie.

— Hr. Augustowa Potocka z Willanowa zadeklarowała udział w wystawie Starożytności przez wystawienie „pokoju królowej Maryi Kaźmiery”. Obok tego przyjęły tu udział: hr. Marya z Tyzenhauzów Przeddziecka, hr. Marya Zawiszyna, p. Natalia Swinarska, która zadeklarowała koronkowy szal nieszczęśliwej Maryi Antoniny Francuzkiej, oceniony na 60.000 fr. Ale nietylko okazy tak kosztowne mogą budzić interes ogółu; znajdując się w posiadaniu wielu rodzin rzeczy drogiecenne przez wartość inną, które powinny ukazać się na wystawie. Obowiązek dobrego wzruszenia serc ludzkich przypada też na dział powinności — na dział pracy kobiecej i było-by rzeczą pożądaną, aby panie nasze pamiętały na to przy danej okoliczności.

— Na jednej z warszawskich pensyi żeńskich uczennice z powodu imienin przełożonej zrobiły — jak to jest zwyczajem — pomiędzy sobą składkę na kupno jakiegoś podarku imieninowego. Wynosiła ona 110 rs. i przełożona, dowiedziawszy się o zamiarze, podziękowała serdecznie za dobre chęci zrobienia jej przyjemności, ale prosiła zarazem, aby ona sama dała przeznaczenie składkowym pieniądзом. Dołożywszy od siebie 40 rs., postanowiła obrócić całą sumę na zakup książek i innych pomocy naukowych dla uczennic niezamożnych, czyniąc z zebranej summy żelazny na ten cel fundusz, mający się stale zasilać przez składki zbierane zwykle na wiązanie dla nauczycielek i nauczycieli. Zaliczyć trzeba ten czyn do bardzo ważnych czynów działalności kobiecej, bo tu przełożona dała młodzieży impuls do okazywania nauczycielom czci swojej zapomocą dobrego czynu.

— Bazar wyrobów kobiecych został założony w Ciechanowie na wzór istniejącego w Warszawie. Myśl podała p. Bohuszewiczowa, która brała czynny udział w założeniu warszawskiej instytucyi i następnie w jej ruchu wewnętrznym. Zakłady takie potrzebniejsze są nawet po małych miastach, niż w Warszawie. Niejedna wsi mieszkanka, pragnąca pracować na zbyt, znajdzie tu miejsce potemu, nieprzedstawiające się nigdzie więcej.

— Uzupelniono liczbę nagród rozdanych na wystawie wileńskiej, przyznając lub potwierdzając dawniejsze medale srebrne: Martwichowej z Wilna za wyroby szcztokarskie, Girdwojniowej za robotę z kawałków poczepianego materiału. Medale bronzowe: Przyjałkowska z Białozoryszek za wyroby wełniane i półwełniane. Palińska za dywan ręcznie tkany, Podarniowa z Wilna za malowidła olejne na drzewie; Dąbrowska z Wilna za wyroby z piór, Krupska z Górnofelu za wyroby wełniane, Brodowska z Chotinkowa, właścicielka ziemska, za słomę do zapalek, Okuszkowska Eliza z Wilna za chustki koronkowe, Trzeciakowa Eleonora z Dublizek za wyroby lłiane, Raczyńska z Wilna za roboty z wełny i jedwabiu, Sze-walowa z Rosieńskiego za wyroby wełniane, Korowajowa z Wilna za dywan z kawałków, Milkuszowa ze Żmujdzi za wyroby wełniane, Korowajowa z Wilna za dywan z kawałków, Mikuszowa ze Żmujdzi za wyroby wełniane, Wiśniewska Stanisława z pow. Słomińskiego za malowanie na aksamicie, Gedyminowa za tkaniny wełniane, w.łniane, Kościńska z Wilna za haft na jedwabiu. Sakelowa za tkaniny wełniane, Białozierska z pow. Słomińskiego za tkaniny wełniane, Karmanowa z Wilna za kwiaty sztuczne. Nagrody pieniężne otrzymały: Krupska z Górnofelu pow. Święciański, Raczyńska z Wilna za wyroby szydełkowe z wełny i jedwabiu, Lacka z Wilna za wyroby pończosznicze, Ostrowska z Meszajgoly za portret kredką z fotografii w formacie powiększonym, Michniewiczowa za wyroby z nasion, Zienkiewiczowa, Kawłowa, Glińska za wyroby tkackie po rs. 10. Kilkanaście wieśniaczek otrzymało za wyroby tkactwa domowego po rs. 6, obok tego trzy wystawczyni włościanki: Gedyminowa, Trzeciakowa i Kuksinowiczowa — pługi.

Razem było w dziale tkactwa domowego wystawczyń 25, znacznie więcej, niż na zeszłorocznej wystawie, a wszystkie tkaniny były równie dobrze utkane i ładne, niektóre nawet bardzo ładne, jak Krupskiej z Górnofla; lecz pod tym względem odznaczały się głównie wyrobione po dworach, jak okazała p. Przyjałkowskiej z Białozoryszek, pow. Wilkomirski i p. Białozierskiej z Dziekaniszek pow. Słonimski. Tkaly je włóścianki, ale wykształcony smak pani dawał tu kierunek, i można by też ustanowić dla tych gospodarnych wystawczyń osobnego rodzaju nagrodę za zasługę obywatelską, jaką jest niewątpliwie rozszerzenie i do użytku klas wyższych przemysłu domowego a obok tego wpływ udzielający się w ten sposób na wyrobienie estetycznego smaku w ludzkiej. Idzie zatem bardzo wiele, bo budzą się przez to pewne aspiracje szlacheckie, cywilizujące.

Wszystkie lub prawie wszystkie wyroby domowego tkactwa włóścianek zostały zaraz rozkupione, choć były one stosunkowo drogie. Trwałość ich przemawiała za nimi, ale tu z interessem materyjalnym mieszał się inny: sympatya. I dla tej strony rzeczy wystawy mają znaczenie swe wybitne: klasy się spotykają ze sobą, łączą i poznają. Poza sądem biegłych głos opinii przyznawał wartość artystyczną kredkowemu portretowi z fotografii p. Ostrowskiej z Mejszagoly; ponieważ wystawczyni położyła przy nim cenę, więc zapewne chce szukać pracy na tem polu i pomyśl-to dobry, mogący stać się powodzeniem. Wróży jej wystawczyni korespondent *Przeglądu Tygodniowego*. Podobnie ładny kapelusik, mufla i kołnierzyk z piór ptactwa domowego, wyrobu p. Dąbrowskiej, mogą wytworzyć nową u nas gałąź pracy, która mogła-by być zyskowną. Pisząca to widziała także z Litwy pochodzący kapeluszek okrągły, bardzo ładnie, bardzo wdzięcznie przybrany skrzydełkiem naszej sukni. Nie święci garnki lepia i nietylko cudze rzeczy i gust cudzy mogą być piękne.

— W Galicyi powzięto zamiar założenia *szkoły gospodyń wiejskich*, oddając na to rocznie z funduszu krajowego 15.000 zł. reń. Szkoła przecież ma być ograniczona do 20 uczennic, a że opłatę wpisowego oznaczono na 150 zł. reń., zatem koszt roczny przypadający na jedną po 900 zł. reń. Czy nie zawiele, bo, ileż-by stosunkowo kosztować musiało utrzymanie studentów na uniwersytecie?

— Hr. Zamojska zamierza założyć szkołę gospodyń wiejskich we wsi Kuźnice, w pobliżu Zakopanego.

— Na kongresie początkowego nauczania, odbytym w Saronie pod przewodnictwem pedagoga francuzkiego, Gréard'a, wzięły udział dwie Warszawianki: pp. Marya Czesława Przewóska i Marya Weryho. P. Weryho, stojąca w Warszawie na czele zakładu odpowiadającego szkółce freblowskiej, zwiedzała też w Brukseli podobne instytucje. Burmistrz miasta polecił miejscowej inspektorce szkół żeńskich, M-me Guillaume, ułatwienie tego podróżnicze naszej, a belgijska pani wywiązała się z zadania najuprzejmiej i najdokładniej.

— W kongresie dentystów, odbytym w Paryżu, brała udział panna Bulewska z Wilna.

— W Panteonie paryzkim odsłonięto cztery freski, przedstawiające Joannę d'Arc: w chwili, gdy odezwała się do niej Głosa, nakazująca chwycić oręż na obronę Francji, w chwili, gdy przybywa na odsiecz Orleanowi, w czasie koronacji Karola VII w Reims i nakoniec w Rouen na stosie. Malował je artysta używający we Francji wielkiej sławy: Lenepven. Krytyka francuzka ceni dzieło bardzo wysoko. Otwarto również w Paryżu panoramę przedstawiającą

dzieje Dziewicy, a ściągają to codziennie tłumy widzów. Cześć Joanny stała się dziś we Francji ogromną: przedstawia ona ideał, do którego wyciągają się z zapalem ręce Francuzów. Czy jednak iskra, z którejby rozniecił się w jej łonie ogień święty, może zatlić się w ich sercach?

— Papież ustanowił order dla kobiet, odznaczających się cnotą czystego, górnio wiedzionego życia i pracą w kierunku zasługi religijnej. Za zgodą Piusa IX patriarchy jerozolimski począł udzielać kobietom cnot pobożnych krzyż kawalerów grobu Ś-go, co miało miejsce raz pierwszy w 1866 r. Leon XIII przyznawanie orderu tego kobietom potwierdził, we wszystkich jego trzech klassach, z tytułem: „Dam Grobu Ś-go“ (Domina Sacri Sepulchri). Insignia orderu noszone być mają na lewej stronie piersi.

Z bieżącej chwili.

— **Biuro informacyjne o nędzy wyjątkowej** przypomina ludziom dobrej woli, że chłody jesienne potęgują nędzę ubogiego przez brak cieplejszej odzieży. Kancellarya *Biwa*, gdzie przyjmują się wszelkie ofiary dla biednych, mieści się na Tamce, pod Nr 35, i otwarta jest codzień od 3-iej do 5-iej godziny popołudniu.

— **Warszawska Kassa Oszczędności** ma obecnie 43.424 uczestników z kapitałem 2.0042.16 rubli.

— **Kancellarya Warszawskiego Uniwersytetu** ogłasza, że wakuje na bieżący rok naukowy trzynaście trzy stypendyów. Z zapisu Włodzimierza Młockiego cztery, po rs. 300; z zapisu Sępińskiego jedno: 300 rs.; z zapisu Korwin Szymanowskiego dwa, po rs. 150; z zapisu Wawelberga jedno, rs. 90; z zapisu Adama Chojnackiego ośmnaście, po rs. 120; z zapisu Dekucińskiego jedno: rs. 187; z zapisu Giejsztorowej trzy po 180 rs.; z zapisu Surowieckiego trzy po rs. 133. Podania składać należy w odpowiednich wydziałach uniwersytetu.

— **Warszawskie Obserwatorium Astronomiczne** posiada przedmiotów i instrumentów 4.732. Wartość ich przedstawia 41.967 rs.

— **Obraz Chełmońskiego** odznaczony na Wystawie Paryzkiej nagrodą najwyższą: „Grand Prix“, został nabyty przez p. Ludwika Temlera. Nie będzie zatem wywieziony zagranicę i publiczność nasza oglądać go będzie mogła na wystawie galerii obrazów jego obecnego posiadacza, która ma być wkrótce urządzoną. Dochód z wystawy przeznaczonym został na rzecz budowy gmachu *Warszawskiego Towarzystwa Sztuk Pięknych*. Chełmoński otrzymał obecnie na wystawie sztuki w Anglii pierwszą nagrodę za obraz: „Przejażdżka w Parku“ (Hyde Park).

— **Spółka malarzy, rzeźbiarzy i architektów warszawskich** urządza w Salonie Artystycznym na Nowym Świecie wystawę szkiców. Otwartą ona będzie d. 20 listopada; deklaracje już się przyjmują.

— **Na trzech warszawskich stałych wystawach sztuki:** na wystawie *Warsz. Tow. Sztuk Pięknych*, w *Salonie Krywulca* i w *Salonie Artystycznym* sprzedaż przyniosła w roku bieżącym 31.000 rs.

— **Medal dla uczczenia zasługi bibliotekarza** Krakowskiej Biblioteki Akademickiej, Estrejche-

ra, nosi na jednej swej stronie napis umieszczony w wieńcu laurowym: „Za bibliografią XV, XVI, XVII, XVIII i XIX wieku—ziomkowie.“

— **Stypendyum imienia Sniadeckiego**, ufundowane przez p. Seweryna Gałęzowskiego w summie 5.000 franków rocznie, przyznawane ma być przez Krakowską Akademię Umiejętności, poczynając od d. 1 Listopada r. b. Ubiegać się o nie mogą assystenci lub docenci obu uniwersytetów galicyjskich i jednego zagranicznego (ci ostatni z warunkiem dostatecznej do wykładu biegłości w języku polskim). Stypendya na rok 1889/90 przyznane ma być kandydatom poświęcającym się naukom przyrodniczym. Do podań, które należy wnosić do Krakowskiej Akademii Umiejętności (ulica Sławkowska) dołączyć należy: 1-o Dowód, że kandydat jest assystentem lub docentem: jakiego przedmiotu, jak dawno, ilu miał słuchaczy? 2-o Prace naukowe, bądź drukowane, bądź w rękopiśmie, 3-o Program studyów, które w ciągu roku prowadzić zamierza.

Po upływie pierwszego półrocza kandydat będzie obowiązany przedstawić rozprawę z prac naukowych, któremi się zajmował w tym czasie, i udowodnić usilność swoją w tej mierze.

— **Muzeum imienia Dzieduszyckiego** we Lwowie wzbogaciło się zbiorem przedmiotów wyrobu ludu huculskiego, zgromadzonych przez prof. Szukiewicza.

— **Życiorys Stowackiego**, napisany z powodu czterdziestej rocznicy śmierci poety, przez Niemca, Adolfa Wilhelma, ponemiecku, zamieszczony został w najlepszym niemieckim piśmie literackim: „Magazin für die Litteratur des In-und Auslandes“. Jest tu podany spis wszystkich utworów Stowackiego i ich ocena. Rocznica, którą uczcił literat niemiecki, przypadła r. b. d. 3 kwietnia.

— **Rozdawanie nagród** na Wystawie Paryzkiej odbyło się w d. 30 Września. Minister Spraw Wewnętrznych Tirard ogłosił, że liczba wystawców przechodziła 60.000, że przyznano ogółem 33.139 nagród; najwyższych: „Grands Prix“ 903, medali złotych 5.753, srebrnych 960, brązowych 9.323, listów pochwalnych 8.070.

— **Wyprawa do bieguna południowego** organizuje się w Nowym Yorku. Henryk Villard jest założycielem działającego tu towarzystwa, którego zadanie polega na dostarczeniu potrzebnego kapitału. On sam zamierza stanąć na czele wyprawy.

— **Biografia autorki „Chaty Wuja Toma“**, napisana przez jej syna, Karola Stowe, wyjdzie wkrótce w Nowym Yorku, gdzie już jest pod prasą. Książka ma zawierać ciekawe i zajmujące obrazy amerykańskiego społeczeństwa z czasów młodości M-rs Beecher-Stowe, która dotąd żyje i cieszy się czerstwą starością.

Do dzisiejszego numeru *Bluszcza* dołącza się Arkusz 15-ty powieści pod tytułem **O Własnej Mocy** przez J... B... Ed... .

TREŚĆ: Pogawędka. — Szczątek, przez M. Ilnicką. — Adjutant króla jegomości, opowiadanie z drugiej połowy zeszłego stulecia napisał Mieczysław Krzywosąd-Kepieński. — Z Nieśmiertelnymi przez F. M. Crawford'a. — Przegląd teatralny, przez St. Krzemińskiego. — Kronika działalności kobiecej. — Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: Arkusz 15-ty i 14-ty powieści pod tytułem: **O własnej mocy**, przez J... B... Ed... — Przegląd mód. — 25 wzorów ubiorów i robót z opisem. — **Sekreta gospodarskie**. — **Dyspozycya stołu**.